

Praca aktora nad sobą Kamizelka ratunkowa

ADAM BUKOWSKI

Praca aktora nad sobą, taki tytuł nosi bodaj najważniejsze dzieło rosyjskiego aktora, reżysera i pedagoga teatru – Konstantego Stanisławskiego. Jednym z aspektów proponowanej przez niego metody gry scenicznej było budowanie roli przez aktora w oparciu o własne doświadczenia i przeżycia wewnętrzne. W ten sposób, w czasie przedstawienia teatralnego, aktor miał być bardziej przekonujący a jego gra prawdziwa i naturalna.

Powyższe stwierdzenie jest oczywiście bardzo ogólne, a to ze względu na fakt, że niniejszy tekst nie usurpuje sobie prawa do fachowego omówienia problematyki dzieła tego wybitnego człowieka teatru. Dzieło Stanisławskiego nie zostało tutaj przywołane ze względu na swoją wartość merytoryczną, lecz jedynie ze względu na... tytuł. Zgodnie z założeniem rosyjskiego reżysera, oznaczać on miał pracę człowieka, którego zawodem jest aktorstwo, nad rolą, którą ma on zagrać w danym spektaklu. Aktor jest więc pojmowany jako członek ściśle określonej grupy społeczno-zawodowej, do której reżyser kierował swoje uwagi, choć, jak wiadomo, dzieło Stanisławskiego zyskało o wiele większą rzeszę czytelników.

Okazuje się jednak, że tytuł ten nie musi odnosić się tylko do takiego pojmowania zjawiska „pracy aktora nad sobą”. Wystarczy jedynie przededefiniować słowo aktor, a nabiera ono zupełnie nowego, by tak rzec, uniwersalnego znaczenia. Jakże zatem pole semantyczne należałoby przyporządkować nowemu rozumieniu słowa aktor? W próbie odpowiedzi na to pytanie niech posłużę ciąg na pozór banalnych pytań, które jednak niczym zwrotnica, skierować powinny myślenie o artyście teatralnym na inny tor.

Czyż *de facto* nie jest tak, że niemal wszystkie bodźce zewnętrzne generują w nas konkretne zachowania, czyny, gesty i słowa? Czy niemal w każdej chwili swojego życia nie wdzieramy kostiumu i nie zakładamy maski, które pomagają nam osiągnąć wytyczony cel? Czy zatem każdy człowiek nie jest tak naprawdę po części komediantem, a po części bohaterem tragicznym? Choć pytań wiele, to odpowiedź jest jedna i oczywista: tak, każdy z nas jest aktorem, grającym rolę w spektaklu swojego życia.

Takie ujęcie człowieczego bytowania nie jest oczywiście żadnym *novum*, co więcej, funkcjonuje w kulturze już od wieków. Wystarczy jedynie przytoczyć wypełniający literaturę i sztukę wszystkich epok topos *theatrum mundi*, czy towarzyszące człowiekowi w mowie potocznej powiedzenia w stylu „robić dobrą minę do złej gry”. Chociaż jest to stwierdzenie oczywiste, nad którego znaczeniem przestano się głębiej zastanawiać, to może jednak warto zwrócić się ku niemu z nowym oglądem i z innej perspektywy.

Biorąc pod uwagę niemal każdą naszą codzienną czynność, szybko można zauważyć, że wchodzimy w nieskończoną ilość ról, zatracając siebie w mnogości przybieranych kostiumów i masek. Jak wielu z nas pod prysznicą staje się gwiazdą sceny muzycznej, przed lustrem idealnie zbudowanym przystojniakiem, a na ulicy modelką, prezentującą doskonale dobra-

ne dodatki. Jednakże to tylko jeden z aspektów gry aktorskiej – rola w melodramacie. Postaciami prawdziwego dramatu stajemy się w interakcji z innymi ludźmi, przed którymi zmieniamy się w crudytę na zajęciach dydaktycznych, specjalistkę w pracy, inteligenta w teatrze, zamożnego jegomościa w sklepie, nienaganną żonę i matkę, dżentelmena dla dam, dowcipnisią wśród znajomych, itd., itd. Jak się okazuje, nie przestajemy nimi być także w czasie kiedy nasza świadoma aktywność ograniczona jest do minimum. Sen to przecież także stan niustannego wchodzenia w rolę, kiedy to nasz umysł rozgrywa najróżniejsze scenariusze, w których stajemy się na powrót dziećmi, lub nieustraszonymi bohaterami, czy namiętymi kochankami. Czy zatem kiedykolwiek zarzucamy aktorstwo, aby choć na moment być sobą, indywidualną jednostką, posiadającą niepowtarzalny zestaw danych personalnych?

W wielu dziedzinach życia funkcjonuje termin „ciemna strona”: ciemna strona księżycy, ciemna strona duszy, ciemna strona mocy itp. W psychologii jest to jeden z wariantów tłumaczenia angielskiego terminu *the shadow side*, który oznacza nieznaną, ukrytą w cieniu stronę ludzkiej natury. Nie chodzi tu jednak o głęboko ukryte, złowrogię i mroczne aspekty ludzkiej psychiki. *Shadow side* rozumieć należy jako prawdziwe oblicze każdego człowieka, pozostające w cieniu niezliczonej ilości póź przybieranych każdego dnia. W koncepcji tej, człowiek jest nieustannie wchodzącym w rolę aktorem, który nie nadąża już nawet zmieniać kolejnych masek, lecz wdziawa jedną na drugą. Wedle psychologów zajmujących się tym zagadnieniem, aby dotrzeć do prawdziwej, zacięzionej natury, każdy człowiek zobowiązany jest do ciągłej pracy nad sobą, polegającej na zdzieraniu z siebie kolejnych masek. Warto się jednak zastanowić, czy w obliczu powyższych rozważań, jest w ogóle możliwe całkowite wyjście z roli życia codziennego? Wydaje się, że podobnie jak księżyc zawsze pozostaje po części niedostępny dla oka, tak prawdziwa ludzka natura nigdy nie wyjdzie całkowicie z cienia. Zadaniem człowieka świadomego, chcącego zejść na drugi plan w wielkim teatrze świata, jest dążenie od nowu ku pełni, aby na jaw ukazała się jak największa część jego osobowości.

W związku z powyższym, zupełnie nowego znaczenia nabiera tytuł dzieła Konstantego Stanisławskiego. „Praca aktora nad sobą” ma służyć nie udoskonalaniu roli, lecz odwrotnie, stopniowemu i mozolnemu uwalnianiu się od niej, porzucaniu kolejnych masek. Efektem owego wysiłku ma być odkrycie swojej prawdziwej tożsamości, która w drodze na scenę omija garderobę i charakterystatornię, która wychodząc na deski zapomina wszelkich technik gry aktorskiej i prezentuje się widowni taką, jaką jest naprawdę.

Otwarte pozostaje jednak jeszcze jedno, bodaj najważniejsze pytanie. Ilu ludzi jest gotowych nie tylko na całkowite obnażanie siebie przed światem, ale więcej, na konfrontację z dawno zapomnianym samym sobą? Podjęcie tego typu pracy związane jest ze spo-

Zastanawiam się, ile razy w życiu będę musiał założyć taką kamizelkę na siebie, albo ile razy już się tak zdarzyło, że miałem ją na sobie i oczywiście nic o tym nie wiedziałem.

Jakoś do tej pory wszystko się dobrze układa, aż czasami trudno w to uwierzyć. Jest chyba naprawdę niezłe. Rozglądam się dokoła i wielkie, tłuste uff! wydobywa się z mojego ciała. Przerażające, ale wtedy ogarniam ją mnie i rozkosz, i strach; a jakby tego było mało, zaczyna mi się kręcić w głowie. Bańki mydlane przed oczami. Wydaje mi się, że to jakaś wielka Opatrzność nie pozwala mi się pograć – w zamian jednak cały czas czegoś żądając. Dając dużo, żąda więcej i więcej.

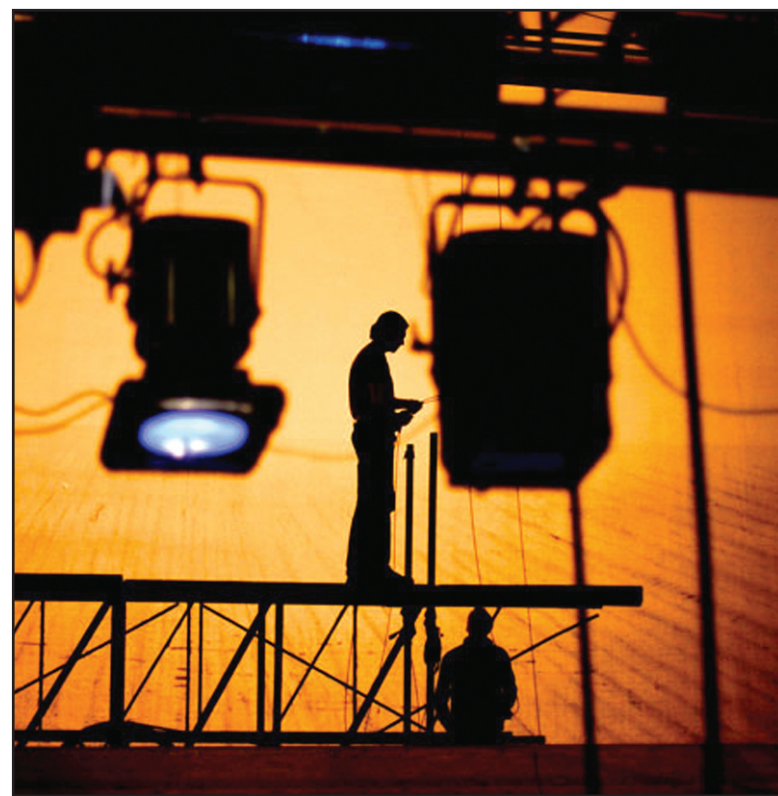
Dostałem coś, od czego trudno będzie mi się uwolnić, trudno będzie to zwalczyć. Potrzeba, którą reaguję kiedy podglądam świat, uzależnienie od świata od ludzi i wszystkiego materialnego. Odraza i pragnienie. Chęć dotykania wachania, określania na nowo i od początku. Tworząc alfabet moich przestrzeni, biorę do ręki miarę, którą otrzymałem kiedyś, już bardzo dawno. Właściwie głuchy na podszepoty, w przezroczystym foliowym worku na głowie, pakuję się pod koła jakiegoś wielkiego transportera z odzieżą chińską. Tak się dzieje, jeżeli nagle przestają sobie ufać i zapominam się, rozwiązuję moją kamizelkę. Kara? Może za brak wiary w siebie dostaję po głowie, za marzenia nie o tej, lecz o innej pani.

Boję się używać takich wyrazów, jak sztuka, kariera; a już na pewno stawiać je obok siebie. Teraz jest tak, że nikt by się właściwie nie obraził na takie zestawienie, bo w głębi serca czuje, że jest to wspaniała podróż po okolicach, a i może wyprawa na dłuższe wakacje w przyszłości. Mam za sobą taki etap, w którym umieściłem wszystkie nadzieje związane z tym, jak to powinno ze mną być. I nie dlatego, że jestem już spalony, ale właśnie żeby tak nie myśleć – postarałem się to wszystko schować i pozamykać. Teraz, kiedy jestem prawie wolny od tych pustych horyzontów, mogę skupić się na czymś, co powinno zająć mi całe życie. A jeżeli nie całe, to chociaż jakąś znaczącą jego część. Bez kompromisów – powinno to być jednak całe życie – bez przerwy. Na okrągło i w kółko.

Wbijanie igieł w stopy, to podobno bolesny zabieg – chociaż są pewnie i tacy, którzy to lubią i dla nich to nie nie znaczy, igła w dużym palcu. Chodzenie po rozżarzonych węglach jest prawie porównywalne z tym, jak się

ryzykiem, gdyż możemy okazać się osobami o wiele mniej intrygującymi i interesującymi, niżli jesteśmy w od lat obsadzonej roli naszego życia. Wydaje się, że większości z nas o wiele bardziej odpowiada bycie gwiazdą w kameralnym teatrze swojego jestestwa, niżeli zdemaskowanie prawdy dotyczącej zakamarków swojej osobowości. Warto zaryzykować stwierdzenie, że tylko niewielu ludzi podjęłoby wyzwanie całkowitego zarzucenia masek codzienności w celu odkrycia samego siebie. Nie zapowiada się zatem, aby nowy przekład *Pracy aktora nad sobą* miał zyskać szerokie grono aktywnych odbiorców.

MICHAŁ GOŁUBOWSKI



można czuć stojąc przed czymś, co jest czytelne tylko dla jednego odbiorcy gąbki. Będąc taką gąbką nie jesteśmy w stanie zauważyć, ile możemy wciągnąć, wessać w siebie. Gąbka – odbiorca potrafi skurczyć się i nadymać do rozmiarów, po osiągnięciu których robi się niedobrze. Gdy jestem pełen wszystkiego, co przed chwilą zauważyłem – nie pozostaje mi nic, jak tylko się wyżyć. To jest, niestety, metafora pewnie mało krzepiąca, ale trafna. Większość tego, co nazywam życiem codziennym, nie pozostawia mi innego wyboru, jak chłonięcie. Jestem zmuszony wszystko odbierać poprzez taki filtr, który pochłania wszystkie słowa i znaki, kolory i kształty, kłęski i upadki; rzadziej szczęście i samozadowolenie. Samokrytyka rodzi mnichów artystów, pustelników i piękne czyste dusze. Prowadzi jednak czasami w całkiem odwrotnym kierunku. Na dno. Tak jest ze mną. Lecę czasami całymi tygodniami w przepaść i wiem, że nic nie mogę z tym zrobić, bo jest to zależne właśnie ode mnie. Pociągająca samodestrukcja rodzi we mnie nowy stan zadowolenia, poprawy i chęci do działania. To po prostu piękna parabola uczuć.

Tak, to się nosi w sobie przez dłuższy czas i w końcu przychodzi ten moment, że jeżeli zaraz czegoś nie narysuję, nie napiszę, to jestem gotów się udusić. Więc żarliwie rzucam się do robienia rzeczy, których sensu może sam na początku nie do końca rozumiem. Chaotyczną wizję zamieniam z czasem na artykuły i produkty, które zaczynają tworzyć ten świat; stają się integralną jego częścią, będąc swoistym wyrazem mojej indywidualnej kreacji, kropki pośród kresek.

Cały czas mam na imię Michał i kiedy ktoś tak na mnie zawoła, to odwracam się w jego stronę, bo wiem, że to o mnie chodzi. Całkiem inaczej jest, kiedy coś woła mnie – moje imię – w świetle bez wyrazów i słów. W kolorach i kształtach, kusząc mnie długimi językami swoich znaczeń i kłamstw. Właściwie cały czas produkuję nowy kształt, doznając iluminacji w stopniu, w jakim może pobudzić iskra elektryczna z zapalniczki przeskakująca po gołych palcach. Jest to męczące, ale działa upajająco w sposób zupełnie niepodobny do czegokolwiek. „Narko-

mani tego świata, łączcie się ze mną w bólu i upojeniu, w konstelacji impulsów i bodźców, braku pieniędzy i brudzie, cennych doznań i hochsztaplerskich złudzeń.”

Z rzeźbą jest chyba inaczej. Tutaj nie ma się na kogo zamachnąć, nie da się jej przyłożyć jak trzeba. To jest proces. Proces zamachiwania się trwa rok, a potem następuje drugi cios.

Wykształcał w sobie impuls, który przestacza się w działanie. Gromadzi w sobie całą kopertę kolorowych kartek i suszek, poprzedzany lekkimi skurczami i bólami. Dużo się nauczyłem próbując przeskokować kolejne dwa stopnie do góry, na skrót, byle wyżej. To jest różaniec, mantra, w której nie można ominąć jednej dziesiątki, niepostrzeżenie puścić przez palce korali i w nadziei, że wszystko będzie mi i tak odpuszczone. Taka zabawa kończy się na ogół gorzkim smakiem śliny i brakiem wiary w siebie na następne parę tygodni. Maraton: tak można by powiedzieć o tym, jak należy podchodzić do dyscypliny, która nie cierpi interwałów i gwałtownych zmian, a jednocześnie nie pozwala na stagnację. Trudne.

W teatrze jest inaczej. Trafiłem tam, jako świeżo upieczony scenograf, na trzy tygodnie przed premierą. Z zeszytem projektów, które rysowałem jeszcze w pociągu i scenariuszem przeczytanym w podróży, trafiłem na pustą scenę. Sztańkiety, balkony światła i grupka ludzi zaczynających się mnie wypytywać o szczegóły dekoracji. To jest Pan Wiesiek, a to Andrzej, a tam pracownia plastyczna, do której już czas najwyższy zajrzeć. Zawrotne tempo działania, podejmowania decyzji – wielokrotnie popartych tylko własną intuicją a nie doświadczeniem – i tworzenia czegoś ad hoc. Paraliż, jaki mnie ogarniał za każdym razem, kiedy musiałem stanąć pośród grupy ludzi i podzielić się tym, co dopiero zacząłem tworzyć w brulionach i zeszytach, był uczuciem, na które nie byłem na pewno wcześniej przygotowany. Schowany w pracowni, w obrębie swojej rzeźby, nie zauważałem niczego i kiedy ktoś prosił mnie i przerywał, byłem wściekły. Tutaj wszystko, co twoje, jest także ich i bez tych ludzi i ich pytań nie ma ciebie. Fantastyczne.